

**KRZYSZTOF BOCHUS**

# **LISTA LUCYFERA**



**KRZYSZTOF BOCHUS**

**LISTA  
LUCYFERA**





Ta powieść jest fikcją literacką.  
Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń  
jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.



*Rodzicom i bratu Wiesławowi,  
moim najbliższym, którzy nie doczekali,  
poświęcam*





# PROLOG

27 marca 1945, Gdańsk

Dniało. Z zachodu słyhać było równy pomruk sowieckich dział. W powietrzu unosił się odór palonej ropy przemieszany ze smrodem rozkładających się ciał. Samochód gaulitera z trudnością przebijał się do zatłoczonego portu. Na nabrzeżu kłębiły się setki cywilów, zdezorientowanych żołnierzy, zaprzęgów konnych, aut, a nawet wyładowanych po brzegi wózków dziecięcych i naprędce skonstruowanych tacek. Uciekinierzy z ginącego miasta próbowali przewieźć w nich resztki dobytku, którego nie strawiła jeszcze wojenna pożoga. Tak wyglądała apokalipsa, koniec starego świata, z którym tak trudno było się rozstać tym udręczonym ludziom.

Motorówka stała przy brzegu, kołysząc się na wodzie zaśmieconej pustymi kanistrami, lalkami, odpadkami, wypatroszonymi walizkami i pierzynami z gęsiego pierza, które unosiły się na oleistych wodach zatoki jak nierzeczywiste, białe wieloryby.

Forster odetchnął głęboko. Jeszcze kilka minut i znajdzie się na upragnionym pokładzie. Na Helu czekała już przygotowana motorówka, którą miał uciec do Rzeszy. Dwaj sekretarze zaczęli wyładowywać z ciężarówki na brzeg ciężkie skrzynie z monogramem „AF” na metalowej klapie.

Stanął obok i nerwowo obciągnął płaszcz. Musi opanować drżenie rąk. Koniecznie. Już raz stracił panowanie nad sobą w obecności generała Spechta. To nie może się powtórzyć.

– Nie może pan tego zabrać ze sobą. Potrzebujemy miejsca dla ludzi – dobiegł go zdecydowany głos oficera zarządzającego załadunkiem na motorówkę.

– Pan chyba nie wie, z kim ma do czynienia! – Forster nadał swemu głosowi metaliczny, twardy ton, którym tak skutecznie uwodził przez lata tysiące ludzi.

– Dobrze wiem, kim pan jest. Ale to nie ma teraz żadnego znaczenia. Odpowiadam za życie tych ludzi. – Oficer wskazał ręką tłum stłoczony na nabrzeżu.

Jeszcze kilka tygodni temu za podobną niesubordynację kazałby powiesić tego chłystka na drzewie na Hitler Allee. Jeszcze kilka dni temu był tu samowładnym władcą, panem życia i śmierci miliona ludzi. Teraz jednak jego jedynym celem było dostanie się na tę cholerną motorówkę.

– W tych skrzyniach jest dokumentacja niezmiernie ważna dla Rzeszy – spróbował ostatniej szansy.

– Doprawdy? – Oficer skrzywił się ironicznie. – Słyszę to dzisiaj już jakiś dziesiąty raz. Zostaje albo bagaż, albo pan.

– Czego chce ten oficer, kochanie? – Gertruda wychyliła się z samochodu. W jej głosie usłyszał ton paniki.

Tak, stanowczo zbyt długo zwlekał z ucieczką. Wszystko przez te nerwy. Ledwie godzinę temu podczas przygotowywania ewakuacji z jego ukochanej rezydencji na Wyspie Sobieszewskiej inny oficer Wehrmachtu postawił mu podobne ultimatum. Zabronił załadunku cennych mebli gdańskich, rzeźb i obrazów, które Gertruda chciała zabrać ze sobą. A teraz to... Nerwy miał napięte jak postronki.

To miasto zawdzięczało mu tak wiele, a teraz traktowało go jak zwykłego dezertera.

– W porządku – powiedział głucho. – Proszę zadbać, aby te walizki trafiły do magazynu sztabu.

– Oczywiście – odpowiedział leutnant. – Tylko pokonamy Ruskich, a potem natychmiast zajmę się pańskim bagażem.

Albert Forster udał, że nie słyszy tej impertynenckiej uwagi. Teraz najważniejsze było, żeby ocalić życie. I nie wpaść w ręce tych Azjatów, którzy zamknęliby go w żelaznej klatce i obnosili po Długim Targu jak zdobyczną małpę. Brylanty i złote monety i tak mieli zaszyte w płaszczach. Wystarczy na początek. A potem powróci po rzeczy cenniejsze...

Przynaglani przez oficera weszli na pokład motorówki. Forster stanął na rufie, aby jak najdłużej widzieć miejsce, nad którym tak długo panował i które przywrócił Rzeszy. Nawet Führer mu wtedy gratulował... Dymy pożarów snuły się jak splątane warkocze nad płonącym miastem. Ze ściśniętym sercem patrzył, jak oddala się brzeg, a wraz z nim strzeliste wieże kościołów i dachy kamieniczek, które były świadkami jego chwały.

Tylko on znał tajemnicę, którą skrywało to miasto. I tylko ta świadomość trzymała go jeszcze przy życiu. Nie wiedział, jak wyglądać będzie przyszłość za pięć, dziesięć czy pięćdziesiąt lat. Ale wiedział jedno: że Danzig był jego miłością i przeznaczeniem, niewyczerpanym źródłem siły i niemal nadludzkiej mocy. Niemcy przegrały. Nie udało się, chociaż zwycięstwo było tak blisko. Ale była jeszcze przyszłość: nieodgadniona i niezapisana...

Spojrzał przed siebie. W oddali, na horyzoncie widać było światła Helu. Za nimi była już tylko wolność.



# ROZDZIAŁ I

## BLIND

### 1.

Niedziela, 13 maja 2018

Głos redaktora Stolarskiego zamieniony z fali dźwiękowej w impulsy elektryczne pomknął znad Wyspy Spichrzów do najbliższej stacji bazowej w Gdańsku, a następnie do stacji kontrolnej. Uwiązał tam tylko na ułamek sekundy, by następnie popędzić na południe kraju. Z szybkością lasera gnał nad ziemią, mijając po drodze kaszubskie jeziora, wieże kościołów i wielkopolskie niziny. Błyskawicznie dotarł do stacji przekaźnikowej w Karkonoszach. Stamtąd impulsy elektryczne z zaszyfrowanym głosem redaktora naczelnego powędrowały już bezpośrednio na wzgórze i trafiły prosto do słuchawki odbiorcy.

Adam Berg skończył rozmowę i wetknął telefon komórkowy do tylnej kieszeni. Wiadomość była zaskakująca, ale mówi się trudno. Stolarski domagał się jego powrotu do Gdańska, a on nie mógł tego wezwania zlekceważyć. Wy-skrobał ostatnią kępę biedrzyńca z kamiennego podłoża

i odłożył łopatę. Czuł przyjemne zmęczenie, właśnie tego mu dzisiaj było trzeba. Dzień był słoneczny, ale rześki. Brudny patchwork poszarpanych chmur, zalegający jeszcze rankiem nad doliną, rozplynał się już w amalgamacie błękitu i złotych rozbłysków, którymi płonęło teraz niebo. Berg widział stąd rysujące się w oddali pionowe filary Kruczych Skał. Po lewej ręce z porannej mgły wyłaniał się Karpacz. Lubił to miejsce. Należało do niego. I tylko do niego.

Otarł pot z czoła i uważnie zlustrował swoje dzieło. Oczyszczony z kamieni i trawy, względnie wyrównany fragment skały tworzył niewielki, zwężający się klin dochodzący do drzwi jego górskiej samotni na zboczu Kruczej Kopy. „Górską samotnią” nazwał tę rudę Jurek Lodziarz, jedyny człowiek, którego tu zaprosił. Siedzieli na ławie, którą własnoręcznie złożył ze skalnych ciosów odnalezionych na obrzeżach działki. Popijali alkohol i czekali na zachód słońca, który przychodził tutaj nagle jak za pstryknięciem włącznika, aby potem równie szybko zgasnąć i rozplynać się w rdzawym mroku. Drzewa na zboczu obrastały ciszą i milczeniem, a ich oblepiała ciemność, lepka od alkoholu, wieczornej wilgoci i ostrego zapachu męskich spoconych ciał. Whisky wchodziła im gładko. Wypili całą butelkę osiemnastoletniego niebieskiego chivasa, którą chomikował na dnie kuchennej szafki. Stojąc na skraju zbocza, darli się ile sił w płucach, jakby chcieli tym ekstatycznym wrzaskiem zakrzywić cały ten parszywy czas, zakrzywić tę nieubłaganą czasoprzestrzeń i powrócić do samego początku, gdy wszystko było jeszcze niedookreślone i możliwe.

– Nieźle się tu urządziłeś – powiedział Lodziarz i beknął przy tym potężnie. – Prawdziwe gniazdko. Azyl tylko dla orłów, można powiedzieć.

– Nie pij więcej, chłopcze, bo ci szkodzi.